№ 22. Warszawa, 3 Czerwca 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2—3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

„DOKUMENT XX WIEKU."

Dokument ten, drukowany obecnie w tygodniku „Izraelita", powstać mógł jedynie w epoce, obecnie przeżywanej, kiedy zamilkł głos społeczny, domagający się nowych wartości w życiu duchowem narodu. Świadomość światła, zależna od stanu normalnego mózgu zbiorowego, po nadzwyczajnych błyskach, olśniewających nawet bardzo zacofane sfery, — w znacznej mierze przygasła. Znika rozwinięty gwałtownie głód oświaty i wiedzy i wymagania mas przerzucają się z przedmiotu wiadomości na przedmiot wiary. Fakt ten podnieca oligarchję duchowną i dyktuje jej agresywne postępowanie, posunięte aż do zatracenia czysto ludzkiej godności, jak to wnioskować możemy chociażby z uchwał rabinów, odwołujących się do zewnętrznej siły i represji.

Czytając uchwałę zjazdu rabinów Królestwa Polskiego nie wiemy jeszcze czemu bardziej się dziwić; czy cynizmowi duszpasterzy, wyrosłych w zapadłych kątach prowincji i oderwanych od życia nowoczesnego, czy też bezgranicznej ciemnej otchłani w której błąkają się ci ludzie w poszukiwaniu nowych źródeł niewoli i nowego oparcia dla jarzma duchowego. Jednakże jasnem jest, że kler żydowski, (na wzór kleru innych wyznań) dąży do podbicia sumień ludności i w tym celu domaga się sankcji i legalizacji ze strony rządu petersburskiego.

Czwarta uchwała tego soboru mojżeszowego jest nietylko dokumentem wybujałych uroszczeń, lecz także dekretem upodlenia, który swoją moc zachowa po wieczne czasy. Oto wyjątek z tego dekretu, który wciągnięty być winien na proporzec wolnomyślicieli w walkach antyklerykalnych:

„Jak świadczy historja żydów i jak przekonywa doświadczenie współczesne, rabin był i jest naturalnym przedstawicielem gminy żydowskiej nietylko w obliczu Boga, lecz także wobec rządu i osób prywatnych w kwestjach religji mojżeszowej.

Taka rola rabina, jeśli ma być należycie spełniana, powinna być uzbrojona w prawo obrony interesów wiary *drogą pociągania do odpowiedzialności prawnej* tych osób, które szkalują i znieważają religję żydowską. Prawo to powinno być udzielane rabinom, zarówno dlatego, że niezawsze osoby prywatne—żydzi—zainteresowane są w obronie swej wiary w wypadkach jej obrazy, jak i dlatego, że niezawsze te osoby prywatne będą posiadały niezbędną odwagę cywilną do pociągnięcia bluźnierców do opowiedzialności sądowej.

Wreszcie rabini, jako tłumacze przepisów Zakonu i stróże moralnej czystości powierzonej im trzody, *powinniby z konieczności cieszyć się szczęśliwem zaufaniem ze strony rządu*". Brak tu tylko usilnej prośby o prawo ustanowienia własnego komitetu bezpieczeństwa religijnego i nieustającego trybunału inkwizycyjnego, wymierzonego przeciw kacerzom i bluźniercom żydowskim. Zresztą jest wszystko. Rabinom nie wystarcza już faktyczne panowanie nad umysłami „trzody", domagają się ponadto prawa rządzenia całą ludnością żydowską. Podnoszą głos w sprawie własnego „naturalnego przedstawicielstwa" żydów wobec władzy boskiej, jako też i wobec instytucji rządowych i osób prywatnych w kwestjach religji mojżeszowej. Usiłują oprócz roli rabinów spełniać rolę cenzorów, sędziów i urzędowych moralistów. Słowem, rabinat chce ugruntować panowanie teokracji we wszystkich dziedzinach życia, wstrzymać drogą represji zewnętrznych rozwój emancypacji wśród żydów i nie bacząc na głębokie różnice społeczne, wytworzone w drodze ewolucji kapitalistycznej, usiłuje za pomocą ustaw religijnych sprzęgnąć ludność żydowską w jedną całość społeczną, narodową i wyznaniową. Dążenia te wyrażone zostały w pierwszej uchwale zjazdu moralnych inkwizytorów żydowskich Królestwa Polskiego. Cytujemy wyjątek z tego ciekawego dokumentu:

„Przykazanie synajowe o przestrzeganiu soboty stanowi, bez przesady, istotę religji żydowskiej, w walce zaś o przestrzeganie odpoczynku sobotniego wypadło żydom w ciągu wielowiekowych dziejów niemało przeżyć cierpień. A chociaż warunki życia żydów z czasem zmieniły się do gruntu, czczenie soboty pozostaje u nich po dawnemu kamieniem węgielnym religji, wszelkie zaś odstępstwo od zachowania przepisów sobotnich stanowi zamach na podstawy wiary i uważane jest za okoliczność, wstrząsającą owemi podstawami.

A ponieważ religja ze swej strony okazuje się podstawą moralności i całkowicie tę ostatnią przenika, zatem obraza religji w oczach żydów stanowi obrazę moralności, skutkiem czego żyd i obecnie, z punktu widzenia swych współwyznawców, o tyle jedynie uważany jest za człowieka moralnego, o ile mocno się trzyma wykonywania przepisów religijnych.

Na mocy powyższego, celem podniesienia poziomu moralności, należy dać żydom takie warunki (życia), aby nie znaleźli się w konieczności odstępowania od przepisów, tyczących się święcenia soboty. Tymczasem życie współczesne i wytworzone przez nie obowiązkowe normy współżycia nietylko nie przyczyniają się do wzmocnienia śród żydów pobożności i moralności, lecz, przeciwnie, zmuszając żydów na każdym kroku do naruszania świętości soboty, przez to samo szerzą śród nich zarazę moralną i zasiewają ziarna anarchji moralnej, której skutki wielce są niepożądane z punktu widzenia zarówno narodowo-żydowskiego, jak i państwowego."

Widzimy zatem, że według rabinatu współczesne warunki walki o byt ekonomiczny strącają z dawnych podstaw „kamień węgielny" religji żydowskiej, a niezbyt ścisłe przestrzeganie soboty sprowadza „zarazę moralną" i rodzi „ziarna anarchji moralnej." Te mocne wyrażenia, użyte przez ludzi najbardziej niemoralnych, bo odwołujących się do siły fizycznej w sprawie uczuć religijnych, mają pogłębić jeszcze bardziej nienawiść mas żydowskich do tych nielicznych kół względnie oświeconych, które przestały pod wpływem konieczności życiowej uważać sobotę za dzień odpoczynkowy.

I dziś, ażeby ulica żydowska nie posiadała żadnych cech europejskich, t. j. żeby w sobotę zostało zupełnie zawieszone „życie przemysłowo-handlowe"— rabinat odwołuje się do pomocy instytucji administracyjnych. Jasnem więc jest, że wobec dążeń ekonomicznych sama religja w roli policji jest już niewystarczająca, i że ci stróże moralności i „państwa" dla skuteczniejszej obrony dnia sobotniego zmuszeni są wezwać pomocy policji właściwej.

Uroszczenia klerykalne, wyrażone w uchwałach rabinatu na tem nie staną. Dołączone zapewne zostaną nowe ogniwa reform wstecznych i wystosowane nowe żądania pod adresem władz centralnych. Kler żydowski uczyni wszystko by stworzyć sztuczne warunki dla realizacji paragrafów przesądu religijnego i preskrypcji moralności teologicznej. Dążenia rabinatu winny przekonać wreszcie inteligencję żydowską, że czas już najwyższy wyrzec się reguły homeopatycznej w sferze wolnomyślicielstwa i na wzór proletarjatu zacząć walkę o radykalne wyzwolenie sumień z pod wpływów rozwielmożnionej kasty duchowieństwa żydowskiego.

Henryk Lukrec.

POLITYKA ROBOTNICZA RZĄDU ROSYJSKIEGO W OKRESIE 1905—1910.

III. Polityka wobec związków zawodowych.

(Dokończenie).

Wiosną r. 1909 minister handlu i przemysłu Timirazjew wygłosił w Dumie wielką mowę programową, w której m. i. dowodził potrzeby istnienia związków zawodowych. Zdawaćby się mogło wobec tego, że rząd wszelkich usilności dokładać będzie, ażeby ruch związkowy istotnie zakwitnął. A jednak od września r. 1907 urząd gubernjalny warszawski do spraw, dotyczących związków i stowarzyszeń, nie zalegalizował ani jednego związku zawodowego robotniczego. Ten sam urząd systematycznie zamyka nieco lepiej się rozwijające związki zawodowe. Ogółem w Królestwie zamknięto 18 związków zawodowych.

Frakcja socjalistyczna w Dumie jeszcze na wiosnę r. 1908 wniosła interpelację do rządu w sprawie prześladowania związków zawodowych.

Panujące jednak w III-ej Dumie prądy uwydatniły się najjaskrawiej w rezolucji komisji interpelacyjnej, która uznała interpelację socjalistyczną za „nieuzasadnioną". Ciekawe są motywy, przytoczone przez komisję Dumy. Interpelacja wskazywała na aresztowanie i wysyłanie za udział w związkach, na prześladowania prasy zawodowej, na zamykanie związków.

Zdaniem komisji wszystko to odbywa się legalnie na zasadzie prawa o stanach wyjątkowych; kto chce, aby te fakty ustały, powinien wnieść projekt o zniesieniu stanów wyjątkowych — orzekli przedstawiciele tej samej większości, która kilka dni wcześniej przy dyskusji nad budżetem ministerjum spraw wewnętrznych odrzuciła wszelką wzmiankę o konieczności zniesienia stanów wyjątkowych. Interpelacja zwracała również uwagę na dowolność w stosowaniu prawa o związkach i stowarzyszeniach, na sprzeczności w postępowaniu urzędów do spraw stowarzyszeniowych, które raz zatwierdzają, to znów odmawiają rejestracji jednobrzmiących ustaw związków zawodowych. I znowu komisja Dumy uznała, że niema w tem żadnej nielegalności, że jest to tylko sprawa takiej lub innej interpretacji prawa, że interpretacja ta może być nawet mylną, ale nie jest rzeczą Dumy prawo wyjaśniać.

Na skutek odrzucenia interpelacji przez komisję Dumy, plenum izby rozpatrywało ją dopiero w listopadzie 1909 r., t. j. w półtora roku po jej wniesieniu.

Na interpelację odpowiadał przyodziany w strój jenerała żandarmskiego towarzysz ministra spraw wewnętrznych Kurłow. Odpowiedź jego motywowana była w sposób podobny do motywowania komisji dumskiej. Materjału do interpelacji, zdaniem Kurłowa, niema, wszystko dzieje się według prawa; na działalność urzędów stowarzyszeniowych gubernjalnych wpłynęło bardzo mało skarg do senatu i ministerjum; sądzić przeto należy, że wszystko dzieje się tam według prawa. Dumę jednak, zdaniem ministra, zajmuje ogólna polityka rządu wobec ruchu zawodowego. Ta opiera się na następujących rozumowaniach. Jakkolwiek nastąpiło uspokojenie, jednak przywódcy stronnictw rewolucyjnych nie wyrzekli się bynajmniej możności oddziaływania na masy robotnicze, ażeby z ich pomocą doprowadzić do przewrotu państwowego. Minister zacytował rezolucję zjazdu międzynarodowego socjalistycznego w Sztutgarcie z r. 1907 w sprawie związków zawodowych i ich stosunku do partji socjalistycznych, cytował ustępy z organu rosyjskich demokratów socjalnych kierunku mniejszościowego „Golos sociałdiemokrata" i dowodził, że rewolucjoniści usiłują oddziaływać i opanować ruch związkowy. W imieniu październikowców odpowiadał ministrowi Protopopow. Zdaniem posła ruch zawodowy potrzebny jest zarówno dla robotników, jak i dla przedsiębiorców. W razie ujawnienia prądów rewolucyjnych obowiązkiem rządu jest zwalczać te prądy, a wówczas do odpowiedzialności pociągnąć należy oddzielnie wziętych przestępców politycznych, nie zaś zamykać związki lub uniemożliwiać ich powstawanie. Październikowcy uważają, że stosunku rządu do związków nie można nazwać życzliwym. Każdy wie, że władze utrudniają powstawanie i rozwój związków. Taka polityka jest fałszywą, i październikowcy uważają, że przepisy marcowe o stowarzyszeniach winny być całkowicie w życie wprowadzone bez jakichkolwiek przez rząd uprawnionych ograniczeń.

Poseł Gierasimow przemawiał w tym samym sensie. Polityka rządu doprowadziła do tego, że w r. 1908 zamknięto 2 razy więcej związków zawodowych, niż otworzono nowych, ogólna zaś liczba zorganizowanych robotników spadła ze 109 tysięcy do 37 tysięcy. Prawo marcowe zdaniem posła uznaje za niewłaściwe tłumienie zatargów pracy z kapitałem środkami policyjnemi; sądząc zaś z odpowiedzi towarzysza ministra rząd inny ma pogląd i uznaje istnienie związków zawodowych za niebezpieczne dla spokoju państwowego. Oczywiście wobec takich poglądów rząd nie liczy się ani z interesami przedsiębiorców, ani z interesami robotników i przekłada bezwzględne tępienie ruchu związkowego.

Kadet Szczepkin, poseł z Moskwy, m. i. powiedział, że, gdyby rząd sprobował ustąpić ze stanowiska policyjnego wobec ruchu robotniczego, to w Rosji socjaliści staliby się stronnictwem takiem samem, jakiem są na zachodzie, t. j. stronnictwem energicznie zmierzającem do reform społecznych. Kwestja organizacji robotniczych nie datuje się od czasów ruchu rewolucyjnego. Jeszcze w r. 1897 Rada Państwa otwarcie wyznała, że wolność związków i strejków nie odpowiada warunkom ustroju państwowego rosyjskiego. Wówczas ministerjum spraw wewnętrznych probowało uchwycić ster ruchu robotniczego; rezultatem tych usiłowań była „zubatowszczyzna" i „haponada". Po takich doświadczeniach zdawałoby się, że uznaną będzie wolność organizacji zawodowych; ta wolność częściowo też została uznana przez przepisy marcowe z r. 1906; teraz jednak rząd powrócił do stanowiska zajmowanego w r. 1897.

W imieniu Koła polskiego przemawiał poseł Rząd, który dowiódł zupełnej nieznajomości ruchu zawodowego, dowodząc, że mieszanie polityki do obrony interesów ekonomicznych w związkach zawodowych jest ich właściwością na zaraniu ich rozwoju (?) Jest to, zdaniem posła, choroba, którą przebyć muszą wszystkie organizacje zawodowe. Pomimo nadużyć związków za czasów anarchji (?) nie tylko robotnicy, lecz i fabrykanci upatrują wybawienie przemysłu od zguby ostatecznej w ruchu związkowym. Teraz właśnie związki stanęły na właściwem stanowisku — dążenia do poprawy warunków bytu swych członków, i tę właśnie chwilę rząd uznał za właściwą do prześladowania związków.

Z innego stanowiska ministrowi odpowiadał były towarzysz prezesa Dumy, bar. Mejendorf. Nie wypowiadał się w sprawie związków zawodowych, lecz komentował sposób odpowiedzi Kurłowa. Minister, uznając, że do interpelacji niema powodów prawnych, stanął na stanowisku, że Dumie odpowiada nie z obowiązku, lecz z uprzejmości. Mejendorf dowodził, że minister czynił to z obowiązku. Obowiązkiem bowiem rządu jest nie tylko badać działalność podwładnych mu instytucji wówczas, gdy na te instytucje uskarżają się obywatele, lecz i w każdym czasie. Rząd ma obowiązek wprowadzanie w życie zasad prawnych; działalność taka, w sprawie zastosowania do życia zasad prawa agrarnego z listopada 1906 r. bardzo jest energicznie przez rząd prowadzona. Wobec przeto interpelacji w Dumie rząd wyjaśnić powinien, jaką jest jego polityka kierownicza, jaką jest kontrola przezeń roztaczana w sprawie popierania i sprzyjania rozwojowi związków zawodowych. Towarzysz ministra, zdaniem posła, dał nam tu wiadomości, znane nam już dawniej, że ruch zawodowy korzysta z organizacji socjalistycznej. Na pytanie jednak zasadnicze— jak kieruje ministerjum praktyką organizacji lokalnych, ażeby ułożyć trwałą jednolitą praktykę w stosowaniu prawa — na to pytanie Duma odpowiedzi nie otrzymała.

Od wszystkich tych mów, odbijało wypowiedzenie się przedstawiciela frakcji socjalno - demokratycznej, posła Pokrowskiego.

Towarzysz ministra spraw wewnętrznych, mówił poseł, nie przeczył, że istnieje upadek w rozwoju ruchu zawodowego w państwie. Zdaniem frakcji socjalno-demokratycznej upadek ten jest wywołany przez reakcyjną politykę rządu, który prześladuje ruch związkowy, jako taki. Towarzysz ministra wspominał, że czyny rządu można skarżyć; ciekawe, jak można zaskażać te czyny, jeśli ich zasadą jest stan wyjątkowy, uprawniający bezgraniczną samowolę. Socjalni demokraci nie przeczą, że istnieje związek naturalny pomiędzy organizacjami politycznemi proletarjatu, a jego organizacjami zawodowemi. Taki związek istnieje i nic go zniszczyć nie jest w stanie dla tej prostej przyczyny, że organizacje zawodowe nie mogą stać na innem stanowisku ideowem. Dla demokracji so-

cjalnej środowisko robotnicze jest takiem samem środowiskiem przyrodzonem, jak dla Puryszkiewicza— szlachta, dla Guczkowa — młynarze i właściciele cukrowni.

Ze stanowiska zajętego przez rząd w sprawie interpelacji widzimy przeto jasno, że w dziedzinie polityki rządowej to samo zachodzi zjawisko, jakie obserwujemy w dziedzinie polityki prawodawczej: programowi ministra Timirazjewa i opinjom inspektorów fabrycznych o związkach zawodowych z jednej strony przeciwstawia się z drugiej strony stanowisko wice-ministra Kurłowa, projekt trzydniowego wymówienia pracy, zastój w rozwoju prawodawstwa robotniczego, oraz represje i aresztowania, stosowane do związków zawodowych i robotników.

Edw. Grabowski.

O AKTORSTWIE.

(Feljeton).

Dziś, kiedy aktorstwo rozrasta się jak grzyb olbrzymi i swym cieniem zasłania inne rodzaje sztuki— pora przypomnieć ludziom, że oprócz stron dodatnich— posiada ono ujemne.

Aktorstwo — to pewien charakter psychiczny, o wiele częściej się zdarzający, niż zawodowi aktorzy. Jest ono przeciwieństwem samotności. Aktor żyć nie może bez tłumu. Im tłum liczniejszy i bardziej klaszczący, tem bardziej czuje się usprawiedliwiony we własnych oczach aktor. Aktorstwo jest potrzebą popisywania się przed tłumem. Komu nie zależy na tłumie lub kto posiada ten rodzaj wrażliwości, że tłum go krępuje i budzi w nim reakcję niechęci — ten nie może być aktorem.

Aktor otrzymuje treść swego przeżywania od innego człowieka. Nie tyle świat potrzebny jest aktorowi, co autor. Jest to smutna, kompromitująca zależność i nieustanne podcinanie skrzydeł zdrowej dumie i godności. Jeżeli aktor jest naprawdę człowiekiem ambitnym, dąży do autorstwa, jako do wyzwolenia. Słowo jest tem, co należy ocalić. Świat Sofoklesa, Szekspira, Słowackiego—oto czemu grozi zagłada wraz z indywiduum. Lecz takie lub inne zabarwienie i zanotowanie tych myśli jest w dziele, trwającem wieki, rzeczą epoki. Każdy, czytając autora usiłuje odtworzyć postać w całej pełni. Każda epoka, każdy człowiek ma swego Hamleta. Zadanie aktora—dać typ, opierający się wiekom, załamany pod kątem widzenia epoki.

Pozbawiony w znacznej mierze potrzeby oryginalnej myśli — aktor musi zato odczuwać. Jest to artysta, którego uczuciowość jest nieustannie drażniona i zmuszana do wysiłków. Hamlet, don Juan, Otello, Faust przeżywali swój dramat, nie myśląc o widzach, aktor musi myśleć o nich. Może w tych bohaterach jest coś wyższego, głębszego niż zdolność odczuwania *widza*. Ukazać to znaczy to samo, co przemówić nagle w niezrozumiałym języku. Oto jeden z powodów dlaczego powstaje mały kompromis: w imię tego, że aktorstwo jest sztuką uciążliwą — aktor zaczyna się oszczędzać: nie trzeba hojności! Ani jednego efektu, który może zawieść i paść w próżnię! Trzeba znać epokę, upodobania widzów, ich smak i gruntować swe powodzenie na wartościach ustalonych!

Lecz aby oceniać naturę widza—należy przyznać sobie wyższość. Aktor skwapliwie przyznaje sobie tę wyższość. Jak każdy człowiek, popisujący się wartościami duchowemi, naraża się on na to, że wykarmi w sobie potwora próżności. Uciążliwa i irytująca, a jednak nieunikniona zależność od autora, którym aktor zazwyczaj pogardza, i od chwili, sprawia, że jest on więcej niż inny artysta skłonny do przewartościowywania siebie (rekompensata podrażnionej ambicji).

Gdy napisałem powieść, dramat, wyrzeźbiłem posąg — mogę czekać. Dzieło moje znajdzie *człowieka*, jeżeli nie dziś, to jutro. Aktor jest artystą bez jutra. Tylko dziś należy do niego. Jutro to zapomnienie, nicość.

Więc dziś tylko... o smutna konieczność! Aby usprawiedliwić przed sobą nieustanne przystosowywanie swych form do cudzych futerałów, aktor chce mieć publiczność i to publiczność klaszczącą. Bo publiczność chłodna, nieporuszona to to samo, co tłum słuchaczów, dla których się improwizuje poemat w niezrozumiałym dla nich języku. Poszukiwanie języka, jakim się ma przemawiać do tłumu — oto nieustanna troska aktora. Bo jest on wszak tylko interpretatorem cudzego życia, a interpretator musi być zrozumiały. Lecz czy kiedykolwiek z troski powstaje piękno? W grze znakomitego aktora jest często dużo wprawy, doświadczenia, wyrafinowania. By powstało piękno trzeba być sam na sam ze swojem dziełem. Niech tancerkę ogarnie upojenie, niech zapomni o oczach, które ją śledzą, niech się poczuje w sferze wyższej, spokojnej samotności, a taniec jej natychmiast stanie się czarującym. Inaczej da ona tylko zespół ruchów giętkich i zgrabnych. (Stąd pewnik: pospolita dziewczyna nie może pięknie tańczyć). Jedynie bardzo silne indywidualności aktorskie umieją zdobywać się na chwile samotności, samoprzezwyciężenia t. j. wyszego piękna gry aktorskiej.

W aktorze zaciera się niezmiernie szybko dystans między twórcą t. j. człowiekiem, który szuka głębszej wartości a gromadą t. j. zespołem, który chce, by to, co on uznaje za dobre, obowiązywało artystę. Warunkiem nieodzownym wszelkiej twórczości jest myśl, że nie trzeba się zniżać, że człowiek jest istotą zdolną do najwyższych wysiłków. W duszę aktora wdziera się nieustannie cudza myśl i oklaski tłumu, a oklaski nieraz w chwilach, gdy aktor głębszego umysłu najbardziej się siebie wstydzi. Stąd wypływa, że aktor zaczyna ludźmi gardzić. Lecz gdy w głowie powstaje chaos do tysiąca pochłanianych „kwestji" — serce pomimo wzgardy—bić zaczyna tylko do oklasków. Niewolnicza zależność od oklasków, które są dowodem, że usiłowanie osiąga cel, żo improwizacja odbywa się w języku zrozumiałym zagłusza wszelkie inne, z razu raźnie podejmowane zadania. Tłum ma zły gust. Aktor zapomina o tem. Poświęca sztukę dla próżności. Zaczyna popisywać się sztuką, pożąda scen efektownych. Pierwiastek prometejski ulega pierwiastkowi pawiemu. Aktorstwo—zbyt często — to kompromisowość sobkowstwo artystyczne. Tłum, którego władcą mieni się być aktor, jest w istocie jego najokrutniejszym despotą. Zadeptuje on oblicze duchowe aktora. Rozkład jednostki, stoczonej przez raka próżności, oto zwykła historja aktora. Są w nim tylko pozory jednolitego zjawiska psychicznego. W rzeczywistości jest to mozajka cudzych myśli i cudzych moralności. I jeżeli wśród aktorów zdarzają się często samobójstwa, to czy nie płyną one nieraz z upokorzającego odczucia, że aktor przestaje być jednostką t. j. nie przeżywa nic dla siebie? Kiedy się mówi do *aktora*—aktora w całej pełni cech zawodowych—o miłości, narodzie, ojczyźnie — wszystko to pada w jakąś bezdenną ironiczną próżnię Lecz ten sam człowiek będzie pod wpływem tych haseł łkał lirycznie wobec pełnej sali!

A teraz wyobraźmy sobie autora — człowieka, który chce zachować swą niezależność i dać głębszą

wartość swej sztuce. Przychodzi chwila że złożyć musi on swe dzieło w ręce aktora. Smutny los! Oddaje on swe dzieło w ręce ludzi, którzy ze zjadliwą apatją traktują najidealniej wymarzone zamiary artystyczne, a szukają dla siebie w dziele jedynie roli. Reżyser-aktor zaczyna się znęcać nad sztuką, wypruwa z niej to wszystko, przez co—jak mniema — próżność aktorska mogłaby być wystawioną na niebezpieczeństwo. Pocięcie sztuki, na sieczkę nazywa się staranną reżyserją. Frazes szekspirowski rozpiłowywa się na dwie części i jedną z nich odrzuca z giestem olimpijskiej wyższości. Przypuśmy, że Julja powiada:

„Nie chcę iść za mąż, nie mogę pokochać, jestem za młoda—darujcie mi proszę"..

Reżyser-aktor mniema, że w naszych czasach zupełnie wystarczy, jeżeli owa dziewica powie:

„Nie chcę iść za mąż, nie mogę pokochać!.."

I drugą cudowną połowę frazesu wrzuca do kosza reżyserskiego... A podczas gdy reżyser tak się wysila „dla dobra sztuki", zgraja czychających na role aktorów najczęściej nie zadaje sobie nawet tyle trudu, by treść dzieła poznać w całości!

Aktor, zapisujący skrupulatnie „ilość" i „jakość" otrzymanych oklasków—oto komentarz do słów: aktor niewolnikiem widza. Być podziwianym -oto cel aktora. Aktorom znakomitym, zepsutym przez publiczność, nie wystarcza już ona: chcą podbojów i podziwu wśród mniejszych braci. I to jest gienezą wszelakich groteskowych a przykrych dziwactw mistrzów sztuki aktorskiej.

Pewien znakomity aktor—pisze Villiers de L'Isle Adam w jednem ze swych „Okrutnych opowiadań"—ujrzał w zwierciadle, że się zestarzał i czas mu wycofać się z życia. Chce—jak przodkowie—zostać dozorcą latarni morskiej. Rozpamiętywa, że przez lat kilkadziesiąt udawał tylko namiętności, grzechy i cnoty, udawał ludzi, lecz sam dotąd nie był człowiekiem. Pragnie nim zostać nareszcie. Na miłość zapóźno. Oparami sławy już się zaciągał. Uznaje, że najodpowiedniejszym środkiem przekonania się o swem człowieczeństwie będą wyrzuty sumienia, które doskonale odpowiadają jego dramatycznemu temperamentowi. Trzeba popełnić zbrodnię, aby ich doznać. Aktor pali całą dzielnicę miejską—kilkadziesiąt osób ginie w płomieniach. Sprawca, niepodejrzewany przez nikogo, osiada w latarni morskiej oczekując zasłużonych zgryzot i udręczeń. Chce ujrzeć upiory spalonych żywcem. Napróżno! Wyrzutów sumienia niema. Upiory zostawiają go w spokoju aż do śmierci. Rozkład człowieczeństwa dokonał się w nim tak gruntownie, że sam on stał się upiorem tylko.

Tak więc sztuka aktorska ma dwa elementy: to co może trwać wieki t. j. dzieło, i to co nie może trwać dłużej nad przeciąg zawodu aktorskiego t. j. indywidualność aktorską. Aktor normalny musi dbać w równej mierze o oba czynniki. Lecz ta nieodzowna harmonja w praktyce nie trwa długo. Pod wpływem obrażonej ambicji (narzucony z drugiej ręki materjał artystyczny t. j. dzieło współzawodnictwo i t. d.) i wzmagającej się z dniem każdym próżności (aktor prędzej czy później zaraża się nierzetelnością tłumu wobec sztuki) autor zostaje zepchnięty w kąt, a osoba aktora rozrasta się do upiornych rozmiarów.

Słowem—aktorstwo nie jest sztuką upośledzoną, lecz sztuką, pod której ciężarem nie załamie się tylko *żelazny* charakter.

Nie dowierzając twórczym wysiłkom t. j. pracy dla przyszłości, aktor wierzy w to, co już sprawdzone, a w zakresie myśli—przedyskutowane. Jest on konstytucyjnie konserwatystą. Chodzi mu tylko o giest, linję i stylizację. Jest zaciętym wrogiem neustalonych, wyłaniających się dopiero rodzajów sztuki.

Skoro tylko w społeczeństwie zapanuje zastój i zasklepienie w formie już gotowej, między „obywatelem kraju" a aktorem zapanowywa czuła romansowość. Fotografje artystów dramatycznych jak szarańcza obsiadają wystawy okienne i karty pism ilustrowanych. Twarze aktorskie stają się faktem społecznym, godnym zanotowania. Skłonność do aktorstwa jest wrodzoną właściwością ducha ludzkiego. Lecz w chwilach rzutkiego parcia naprzód niema czasu ani ochoty do zasypywania oczu bliźniemu złotym piaskiem pompatyczności. Zastój społeczny stwarza roje aktorów, którzy nia mogąc się pomieścić w dziedzinie sztuki teatralnej, rozsiadają się wygodnie po wszystkich dziedzinach. Wszędzie—gdzie pozór zastępuje rzeczywistość—widzieć należy aktora. Redaktor, który jak ognia boi się swych prenumeratorów i troskliwie wystrzega się dać im coś trudniejszego do myślenia, który dziedzinę sztuki w swym „poczytnym" organie sprowadza do rzędu banalnych, ale za to ogólnie zrozumiałych i ogłupiających historyjek moralnych—jeżeli nie jest zupełnym głupcem i nie prowadzi swej szkodliwej roboty dla „idei" — gra komedję, a chce uchodzić w oczach ludzi za osobę sprzyjającą ogólnej kulturze. Znana jest śmieszna ceremonjalność obrzędów filantropijnych; tu aktorstwem osłania się każdy przed głuchym głosem przeświadczenia, że ta cała filantropja jest zbyt marnym wybiegiem przed sprawiedliwością społeczną. Głupotą lub aktorstwem jest również ta dokuczliwa, lepka opieka, jaką banalizująca moralność, czując się zagrożoną — chce roztaczać nad sztuką, a zwłaszcza nad najbardziej napastowaną i nadużywaną sztuką — literaturą.

Aktorstwo społeczne dla jednostki spostrzegawczej jest widowiskiem komicznem. Jeżeli jednak rozpleni się ono zbyt bujnie, to istnienie kultury w kraju jest przez nie poważnie zagrożone.

Leon Choromański.

POCZĄTKI PROCESU USPOŁECZNIENIA.

(ciąg dalsisz)

Stanowisko takie wskazane jest pierwotnemu człowiekowi wymaganiami walki o byt. Nie można żywota jego wyobrażać sobie normalnie jako obfitowania, sielankowej beztroskliwości na łonie dobroczynnej przyrody. Poza nielicznemi stosunkowo wyjątkami przebywania w okolicach, w których wystarcza sięgnąć ręką, by zerwać z drzewa lub z krzaka gotowe pożywienie— w przeważającej części ludzie są jak gdyby rzeczywiście obarczeni przekleństwem zdobywania chleba nietylko w pocie czoła, ale i we krwi rąk. Natura nie jest bynajmniej stołem samodajnym, lecz ilość środków do życia, które można bez trudu wymódz na niej, jest na pewnej przestrzeni ściśle ograniczona. Musi nadejść moment, w którym zapas tych środków wyczerpuje się, stale czy chwilowo, nie mówiąc już o tem, że nie rozkładają się one równomiernie na wszystkie pory roku, wskutek czego nadmierny dostatek może kolejno zmieniać się ze suchą nędzą. Ludzie muszą miejscowy niedobór środków egzystencji uzupełniać na wyprawach do *obcych*. Ci, którzy wstąpili już na pewien stopień osiadłości i ko-

rzystają z regularnie reprodukujących się płodów gruntu, muszą po niezbyt długim czasie zaniechać poprzestawania na własnych posiadłościach i zapuścić zagony w cudze dziedziny. Zniewala ich do tego kiełkująca zaledwo technika produkcji rolnej i niewyrobiona jeszcze zdolność do wyczerpującej i regularnej pracy. Ziemia, której płody bywają wydzierane rabunkowo, bez umiejętności oszczędzania jej sił dla przyszłych zbiorów, wyczerpuje się szybko i dostarcza coraz mniej dóbr gospodarczych. Nawet tam, gdzie czy to wielka urodzajność gruntu, czy też dalej posunięta znajomość uprawy dozwala dłuższego przebywania na jednem miejscu—naturalny rozrost ludności nakazuje imigrację: nadwyżka ponad pewną miarę będzie musiała co pewien czas opuszczać grupę — macierz i szukać utrzymania gdzieindziej.

Wędrówka w pogoni za środkami do życia, powtarzająca się perjodycznie lubo uciążliwa i trwająca długo, sama przez się podnosi stopień uspołecznienia. Z natury rzeczy potrzeba silniejszego współdziałania grupie (oczywiście już nietylko rodowej. ale jakiejkolwiek) podczas pochodu, gdy przebywa nieznane okolice, w których otacza ją może niewidoczny wróg-człowiek lub zwierzę—w których na noc musi dopiero szukać sobie kryjówek lub je szybko sklecać, musi rozstawiać straże, ewentualnie chronić i pilnować wspólnego taboru. Nieodzowna jest większa zwartość akcji, konieczny też pewien jej podział, który znów—jeśli ma wyjść na korzyść całości—wymaga późniejszego zestrzeliwania się oddzielnych akcji: współdziałanie komplikuje się, wzrasta ściślejsza wzajemna zawisłość ludzi od siebie, wyrabia się ściślejsza akomodacja. Ponadto wędrówka często połączona jest z walką z dotychczasowemi posiadaczami terenów lub dóbr upragnionych (własność obcego!), a walka ta potęguje jeszcze czynniki uspołeczniające. Wymaga bowiem jeszcze silniejszego spojenia się, wzmaga potrzebę łączenia się z towarzyszami. Rozsypani napastnicy łatwo mogą być odparci; co najeźdźcom tylekrotnie w dziejach dawało przewagę nad znacznie liczniejszą ludnością zagrożoną, to właśnie lepsza organizacja czyli składność współdziałania. Trzeba jednak pamiętać, że momenty te, jak wspomniałem, działają uspołeczniająco, o ile powtarzają się często lub występują nieprzerwanie przez dłuższy czas. Tylko wówczas odbijają się na formie akomodacji ludzkiej. Ale też posiadają one dla procesu uspołecznienia znaczenie pierwszorzędne [1]).

Dążności zaborcze napotykające na opór mogą urzeczywistniać się w rozmaity sposób. Grupa może opuszczając wyczerpaną posiadłość spędzić inną ze zajmowanego dotychczas miejsca i założyć na nim osadę. Wówczas żegnani pójdą dalej odbijać na innych, co sami utracili, staną się najeźdźcami i z kolei podpadną pod wpływ tych samych czynników podnoszących stopień uspołecznienia, które działały u ich zwycięzców. Nawet gdyby znaleźli dziedziny jeszcze niezajęte, na których mogą osiąść bez walki, wówczas skutki uspołeczniające mogą wypłynąć ze wspólnego oporu przeciw uzurpatorom ich krainy i z trudów wspólnej wędrówki.

Jeśli siedlisko grupy dostarcza jej stałego utrzymania, ale niezupełnego, wówczas musi je ona kompletować na wyprawach rabunkowych do ościennych grup, podczas których zabiera wszystko czego dopadnie, a czego zabrać nie może—niszczy. Przy powtarzaniu się takiego stanu rzeczy wyrobi się po obu stronach ściślejsze stałe współdziałanie, a przez nie akomadacja. U rabusiów wytworzy się organizacja rabunkowa określająca, kto weźmie udział w wyprawie, jak zachować się podczas niej, by wziąć łup w łatwy i pewny sposób, jak go potem podzielić — stanowisko jednostki uzależnia się coraz bardziej od współtowarzyszów, coraz bardziej jej działanie stosuje się do działań innych członków grupy. Natomiast zagrożeni—jeśli niechcą znosić perjodycznych pustoszeń i następujących po nich klęsk głodowych—muszą ustalić pewne współdziałanie odporne, podobne w skutkach uspołeczniających do zaczepnego. Albo też uznając swą niezdolność do opierania się wrogowi, będą mu się z góry wykupywali. Na okup muszą z jednej strony złożyć się ci, którzy go dają, z drugiej strony rozdzielić go między sobą, ci którzy go biorą; ci ostatni muszą też utrzymywać pogotowie grożące napadem wrazie niezłożenia okupu. I przy tej drugiej zatem ewentualności — zadowalniania się okupem — zacieśniają się po obu stronach węzły społeczne [2]). Rozwijające się tak współdziałanie jest zawsze jeszcze równoprawne bo rozgrywa się tylko *wewnątrz* obu grup. *Pomiędzy* grupami niema współdziałania, tylko przelotny stosunek łupieżcy do chwilowej ofiary. Widzieliśmy zaś, że kooperacja równoprawna posiada blizko zakreśloną rubież możliwości ewolucyjnej wskutek niewyrobienia się techniki produkcji. Dopiero postępowi tej ostatniej towarzyszy znaczne wznoszenie się stopnia uspołecznienia.

Gdy człowiek zdoła wykraść łatwiej dostępne tajemnice przyrody i pocznie własne jej siły zwracać skutecznie przeciw niej samej, gdy nauczy się zbierać płody bez niszczenia tego, co je rodzi, czyli gdy pewien ograniczony szmat ziemi zacznie dawać mu trwałe utrzymanie, byle tylko było dość rąk do pracy na nim — wówczas celem pożądania przestanie być wyłącznie ziemia lub obce zgromadzone zapasy, a stanie się *stały robotnik*. Odkąd technika produkcji dojdzie tak dalego, że człowiek może normalnie wytwarzać więcej, niż spożywa, odtąd też istnieje możliwość stałego korzystania z cudzej pracy [3]). Odtąd grupa zaborcza — bezwzględna zaborczość jest w czasach pierwotnych nieodzownym warunkiem pomyślnego rozwoju — może nie poprzestać na dorywczym łupie, wziętym w rozbójniczych wyprawach lub na zastępującym go okupie, może zaniechać rabunkowego zmiatania cudzych płodów, a natomiast objąć *władztwo* nad pobitymi.

Tu jest punkt, od którego energja procesu uspołecznienia poczyna ujawniać się coraz silniej, *Zawieszenie* władania nad pobitemi wypręża krąg ludzi objętych trwałemi wzajemnemi stosunkami; powiększa się ilość podmiotów tych stosunków, a przez to możliwość ich komplikacji; ponadto ich treść jest tego rodzaju, że zwęża pole dowolnych działań jednostki, wzmaga natomiast współdziałanie wzajemnie od siebie niezależnych indywiduów.

Najpróściej roztacza się panowanie nad pobitymi zapędzając ich w niewolę i wprzęgając w kierat pracy do upadłego na rzecz panów. Daje to początek szeregowi stosunków. Panowie zostają silniej, niż dotąd, złączeni solidarnością interesów wobec niewolników; korzystają oni wszyscy z uprzywilejowanego stanowiska i wszyscy też jednomyślnie pragną utrzymania przywileju, gotowi wzajemnie pomagać sobie w jego obronieniu. Niewolników skuwa wspólna niedola, przymusowa praca na cudzy stół — wszyscy zostają czy przywiązani do galery, czy przytroczeni do narzędzia pracy — ewentualnie chęć zrzucenia jarzma. Ich soli-

---

[1]) Por. *Gumplowicz*: D. soziologische Staatsidee, 1907. zwł. str. 116.

[2]) Ob. przykład podobnych stosunków panujących może jeszcze współcześnie w Syrji (w Hauranie) w La Play: Les ouvriers européens, II, 1877, str. 393 i nast.

[3]) Por. *Engels*: Antidüring, 1904, 188.

darność istnieje jednakowoż tylko potencjonalnie, ponieważ bywa w zarodku zwalczana przez silniejszą z natury rzeczy solidarność panów oraz ze względu na brak styczności ogółu niewolników ze sobą; objawia się ona tylko wśród szczególnych okoliczności, ale też wtedy okazuje się, że istnieje.

Nici stosunków biegną teraz nietylko wewnątrz obu grup—panującej i niewolniczej—ale i pomiędzy niemi. Współdziałanie w wypadku obu grup mających, jak widzieliśmy co dopiero, sprzeczne interesa jest mniej widoczne, niż wówczas gdy mieliśmy do czynienia z grupą jednolitą. Niewątpliwie jednak tak wtedy, gdy ludzie żyją ze sobą na równi praw, jak i gdy złączeni są na zasadzie panowania z góry, a absolutnej subordynacji z dołu — osią wszelkiego współżycia jest współdziałanie dla osiągnięcia celów ekonomicznych. W tym drugim wypadku współdziałanie staje się wyzyskującem, zawsze jednak pozostaje *współ*działaniem. Chociaż bowiem grupa zwycięzców zwala możliwie wiele starania o gromadzenie dóbr gospodarczych na grupę ujarzmioną i stara się zbierać jak najmniej siejąc i jak najmniej orząc, podczas gdy poddani muszą mozolić się do ostateczności, by wytworzyć, co panowie spożyją—to jednak nie można ich wzajemnych stosunków wyobrażać sobie jako czystego dawania z jednej i czystego brania z drugiej strony, wysilonej produkcji i zgoła darmowego spożywania. Przedewszystkiem przez pozyskanie niewolniczych sił do pracy pan bynajmniej nie staje się jeszcze czemś w rodzaju rentjera, lecz pracuje dalej wespół z niewolnikiem, doznaje tylko ulgi, nie zostaje jednakże zwolniony w zupełności od pracy. Powtóre panowie niechąc się pozbawić robotników, bronią poddanych przed wrogiem, którybv chciał odbić ich i zapędzić w swą służbę. Niebezpieczeństwa takiej niedobrowolnej zmiany służby są dla niewolników tak wielkie, że niejednokrotnie sami oni szukają opieki u panów przed uprowadzeniem w obcą niewolę z pewnością nielepszą, a może gorszą [1]—zawsze zresztą gorszym wydaje się najeźdzca, który chce wziąć gwałtem, niż pan wyzyskujący pokojowo utartym sposobem, wchodzącym w końcu w pojęcie naturalnego biegu rzeczy. Ostatecznie akcja panów (w kierunku utrzymania zależności oraz wprost współpraca z robotnikami, względnie kierowanie ich zatrudnieniami) splatając się z działalnością poddanych (w kierunku zapewnienia panom dóbr gospodarczych) zdąża do utrzymania całości i spokojnego stanu posiadania grupy, którą tworzą panowie *wraz* z poddanemi, a przeto i tu mamy do czynienia ze współdziałaniem, ale, jak powiedziano, wyzyskującem — i tu też powstaje akomodacja.

Nie wiem, czy trzeba objaśniać osobno, że akomodacja w znaczeniu, w jakiem używam tu tego słowa, nie oznacza wcale sama przez się *wygodnego* obustronnie ułożenia się stosunków tak, iżby obie strony były zadowolone. Jak woda żłobi sobie w kamieniu łożysko, w którym gładko potem spływa, tak wzajemne oddziaływanie na siebie jednostek wynikające ze współprzebywania i współdziałania dopóty wygładza powierzchnie styczne, aż niedojdzie do akomodacji najkorzystniejszej dla *tego* właśnie typu współdziałania. A więc także i tam, gdzie strona posiada nad drugą wyzyskującą przewagę, zachodzi przystosowanie—wymuszone lub siłą utrzymywane i oczywiście niechętnie znoszone przez stronę upośledzoną, ale przystosowanie. Jest to formacja, która odpowiada danemu rodzajowi wzajemnego uzależnienia. Możnaby odważyć się na twierdzenie, że proces uspołecznienia toczy się naprzód ku coraz sprawiedliwszemu ukształtowaniu się akomodacji, powiedzmy od akomodacji bezwzględnej do względnej. By brać przykłady z jednej dziedziny: w stosunku pana do niewolnika rolnego mamy akomodację najzupełniej bezwzględną przykutego do gleby, następnie dziedzica do uwłaszczonego włościanina – wzięte jako stosunki typowe w pewnych epokach— oznaczają akomodację coraz względniejszą, coraz większe zrównoważanie obu stron. Proces uspołecznienia zdąża do zamykania pola konfliktów społecznych w coraz węższych granicach, co zresztą nie jest sprzeczne ze zaostrzaniem się konfliktów w pewnych punktach, owszem zupełnie z nim zgodne. Antagonizm bowiem dochodzący do pewnego napięcia—wybucha, poczem jednak pozostaje, jakby zabliźnienie, gładka powierzchnia, na której niemasz już miejsca dla tych samych starć, bo ich powód zgorzał w ogniu gwałtowego wybuchu: pobojowisko zostaje wyłączone z pola konfliktów. Takie jest znaczenie rewolucji społecznej — oczywiście ze względu na jej trwałe skutki.

Niewolnictwo nie jest ani jedyną formą wyzysku, ani nie najważniejszą dla procesu uspołecznienia. Jest objawem tylko bezwzględnej i mechanicznej akomodacji. Więzy spajające ludzi w tych warunkach są grube; przemoc panów ciąży nad niewolnikami głazem, który może zgruchotać ich każdej chwili, nie pozostawia im zgoła żadnej dowolności ruchów; pan każe — sługa musi, w tych słowach zawiera się cała niemal treść akomodacji niewolnej. Taka zawisłość niezawsze jest potrzebna lub możliwa. Czy to nadzwyczajna płodność ziemi, czy też postęp sztuki wytwarzania sprawiający, że plon mnoży się, jak gdyby pracownikowi przybywało rąk—pozwalają obniżyć natężenie wysiłku robotnika.— Czasem robotnicy zostają nabyci wśród warunków niedopuszczających do wyzysku niewolniczego. Postęp produkcji usuwa pierwotną równość ekonomiczną wynikającą z ogólnego niedostatku, stwarza możność bogacenia się szczęśliwszych czy obrotniejszych. Natomiast mniej protegowani przez los cierpią dalej biedę, ponieważ zaś bogatsi, rozporządzając w znaczniejszej mierze środkami produkcji, mogą dać im zatrudnienie, przeto często przechodzą na służbę. W ten sposób także pomiędzy równemi sobie początkowo członkami tej samej grupy mogą powstawać stosunki zależności, ale tradycja długotrwałej równości może niedopuszczać do przygięcia zależnych pod jarzmo niewoli. We wszystkich tych wypadkach powstają stosunki o różnych formach, których jednak wspólnym zasadniczym motywem jest, że strona słabsza obowiązkowo składa silniejszej daniny lub spełnia na jej rzecz posługi, nie traci jednak całkowitej wolności.

Różnica stosunków opartych na takiej podstawie niewolniczej ma ogromne znaczenie dla procesu uspołecznienia. Gdy chodzi o niewolnika — zwierzę robocze wyższego rzędu — goła przemoc jest najdosadniejszym argumentem dobywającym zeń trud służebny. Osobistość niewolnika jest zupełnie stłumiona, pan ma go w swym ręku, może go wyciskać, jak chce, może się z nim sfamiljaryzować, jeśli taka jego wola,— *wszystko* może na podstawie samego tego faktu, że jest panem; niewolnikowi wolno tylko to, na co mu się pozwoli chwilowo. Inaczej gdy jednostka, którą się wyzyskuje, posiada w większej lub mniejszej mierze wolność rozporządzania sobą i nie bywa przedmiotem *własności*, którym można posługiwać się bez uzasadnienia w poszczególnych wypadkach sposobu i celu posługi. Już przemoc sama nie wystarcza dla usprawiedliwienia obustronnych stanowisk, lecz osobistość pracownika, jego zdolność do pracy i siłę wytwórczą dzieli się niejako na parcele, z których jedne pozostają do jego swobodnej dyspozycji, do reszty zaś rości sobie pretensje ktoś inny. Ale te pretensje wymagają specjalnego ugruntowania, któreby

[1]) Por. *Oppenheimer*, l. c., str. 36.

zapewniało im skuteczność równie silnie, jak brutalna przemoc gwarantuje władztwo pana nad niewolnikiem. Tu jest gieneza jednego z najciekawszych fenomenów społecznych, mianowicie praw.

Podmiot stosunku nierównego, którego stanowisko jest korzystniejsze, pragnie utrzymania stanu rzeczy. Siła przymusu, którym rozporządza, sięga w sam raz tak daleko, by zapewnić ten stan (gdyby była mniejsza, nie zdołałaby utrzymaćkorzystnej dla siebie nierówności). Być może zresztą, że nie pragnie wcale jego rozszerzenia. Jednakże w obu przypadkach ciągłe fizyczne natężanie zmniejsza korzyść wynikającą ze stosunku. Niewolnika ma pan pod ręką, łatwo mu go dosięgnąć, sama jego obecność jest dostateczną groźbą wywarcia przymusu w każdej chwili, gdy zajdzie tego potrzeba. Natomiast strona słabsza w stosunku, o którym mowa obecnie, z reguły jest oddalona od silniejszej, wskutek czego trudniej utrzymywać ją w ryzach zapomocą czystej przemocy. Dlatego podmiot silniejszy stara się korzystny dla siebie stosunek ukształtować bez swej szkody w ten sposób, ażeby mógł on przedstawiać pewne plusy także i dla podmiotu słabszego i przez to interes własny wyzyskiwanego zastępował w części użycie przymusu. Na tej linji spotykają się dążenia obu podmiotów. Oczywiście bowiem strona upośledzona, a niepozbawiona całkowicie własnej osobowości, usiłuje pozostawioną sobie wolność wyzyskać dla ulżenia obowiązków w tych kierunkach, w których jest niewolna. Pragnienie to objawia się rzadziej w planowej, szeroko zakreślonej akcji, częściej w licznych drobnych wypadkach; w tysiącznych z nich nie zyskuje niczego, w niewielu osiąga swój cel, jako wkradnięcie się w łaskę możniejszego, zwolnienia od jakiegoś ciężaru, pozyskanie jakiegoś udogodnienia, lepszej opieki i t. p. Za ulgi ekonomiczne oddaje słabszy nierzadko swą wolną w zasadzie osobę na usługi patrona zyskującego tym sposobem orszak wiernych, bo zależnych od siebie pachołków—rycerzy — korzyść ważna w epoce, gdy siła zbrojna otaczająca jednostkę rozstrzyga może w głównej mierze w walce o byt.

Współdziałanie komplikuje się widocznie. Zaznacza się coraz wyraźniej wzajemne uzależnienie. Pewne akcje jednego przedmiotu wywołują reakcję lub następuje wzamian za czynności drugiego. Obie strony stają wobec siebie w coraz różniejszych sytuacjach, odsłaniają sobie coraz inne strony swych postaci, coraz też rozmaitsze powstają między niemi stosunki. Warunki produkcji kształtują się z czasem w ten sposób, że konieczne jest, by pracownik posiadał w pewnym stopniu niekrępowaną inicjatywę, działał do pewnych granic samodzielnie na własnę rękę—potrzeba więc specjalnego rodzaju więzów, któreby umocowując trwale zależność, jednocześnie pozostawiały wyzyskiwanemu konieczną dozę swobody ruchów. Są niemi prawa. Przynęta własnego interesu jest tylko surogatem *bezustannego* stosowania przymusu, nie usuwa go jednak. Przymus pozostaje zawsze *ultima ratio* stosunku opartego na wyzyskującej przewadze. Prawa tego stanu rzeczy nie zmieniają, jeszcze bardziej tylko ograniczają potrzebę ekspensowania przymusu. Na tem właśnie polega ich znaczenie, że nie zmuszają słabszego bezpośrednio, fizycznie do pewnego zachowania się tak, jak karbacz niewolnika, zapowiadają użycie siły, wrazie gdyby, słabszy chciał uchylić się od spełnienia tego, czego odeń wymaga silniejszy. Prawa są *ekonomizacją siły*, korzystaniem z niej bez naruszenia kapitału.

(Dok. nast.)

Mieczysław Szerer.

Z TEATRU.

SZTUKA KONKURSOWA.

Sokół. komedja w 6-ciu obrazach I. Grabowskiego. Nagrodzona 1-szą nagrodą na konkursie imienia J. Słowackiego.

Tak zwana opinja publiczna daje się w swym stosunku do zjawisk sztuki i literatury przyrównać najłacniej do pozytywki. Twórca tego instrumentu „wpoił" mu pewną melodję, która byłaby odtwarzana w taki sam sposób do końca świata, gdyby nie to, że niszczyciel Czas położy kiedyś kres istnieniu milutkiej maszynki. Zwycięskiej mocy czasu zawdzięczamy również i to, że sądy estetyczne, wpojone opinji publicznej przez garstkę krytyków i recenzentów, zaczynają powoli zanudzać słuchaczy, aż wreszcie stają się przebrzmiałą muzyką przeszłości.

Postęp techniczny przyniósł jednakże pewne udoskonalenia w fabrykacji przyrządów samogrających. Posiadamy teraz kataryniki, które wygrywają dowolną ilość melodji, zależnie od podłożonych nut; posiadamy gramofony, zaopatrzone w bogaty repertuar. Ale zawsze pozostajemy wobec konieczności użycia nut, sporządzonych w pewien określony sposób i przymocowanych we właściwem miejscu.

Ponieważ istota abstrakcyjna nosząca miano opinji publicznej jest z natury rzeczy stworzeniem leniwem i powierzchownem, więc też nuty ryte przez krytyków muszą odpowiadać pewnym warunkom szczególnym. Melodja musi być jaknajłatwiejsza, ażeby każdy mógł ją bez trudu zrozumieć i „wygrać" na zawołanie za pokręceniem korbki, i dostatecznie krótka, gdyż życie towarzyskie (którego nieodłączną właściwością jest potrzeba wygłaszania sądów estetycznych) nie znosi rzeczy długich. W tym celu sądy te zostały spreparowane odpowiednio przez tkliwych fabrykantów. Ukuto cały szereg wyrazów do określania cech charakterystycznych danych indywidualności twórczych. Wyraz taki, postawiony przy nazwisku autora lub przy tytule jego dzieła, oszczędza długich wywodów, trafia łatwo każdemu do przekonania (gdyż przeważnie nic nie mówi), i ma tę ogromną zaletę, że jest łatwy do zapamiętania.

Gieneza tej metody krytycznej nie jest mi dostatecznie znana. Przypuszczam, że zawdzięcza ona swoje powstanie naukom przyrodniczym, w których używa się wzorów dla określania szeregów jednakowych lub pokrewnych sobie zjawisk. Zachodzi tu jednak drobna różnica. Wzory przyrodniczo-matematyczne utrzymują się w mocy tylko tak długo, dopóki nie znajdzie się jeden chociażby fakt naukowy, któryby im przeczył. Natomiast formuły sądów estetycznych zachowują swą siłę niewzruszenie przez długie lata, chociażby historja rozwoju indywidualności twórczej wykazywała fakty sprzeczne z wygłoszonym niegdyś wyrokiem.

Wydaje mi się, że nie znajdzie się ani jeden czytelnik, w którego umyśle nazwisko Ignacego Grabowskiego nie łączyłoby się z wyrazem *rozmach*. Krytycy nasi wpajali nam tak długo nierozłączność tego pojęcia z nazwiskiem autora, ze każda oczytana pensjonarka i każdy młodzieniec dobrze wychowany „wygra" tę melodję bez zająknienia.

Oczywiście, wiemy wszyscy, że Grabowski ma *rozmach*, podobnie jak i to, że Wyspiański jest *mistyk* i że go *nie można zrozumieć*, że Przybyszewski jest *naga dusza*, że Reymont jest *swojski*, Żeromski — *niemoralny* lub *ciasny społecznik*, a Włodzimierz Tetmajer — *chłopoman*.

Odstąpienie od tego tematu jest w recenzjach niedopuszczalne, wolno tylko komponować warjacje. „C'est le thème—brodez, brodez!..."

Barwnych próbek tego haftu, wyszytego na cześć „Sokoła", dostarczyły pisma codzienne i tygodniowe pod dostatkiem. I nic dziwnego! Krytycy, rekrutowani z pomiędzy sędziów konkursowych (cóż za dziwne pomieszanie pojęć!..), musieli wszak usprawiedliwić swój wyrok. A cóż prostszego nad to, że użyli w tym celu znajomej ale zawsze miłej dla przeciętnie muzykalnego ucha melodji katarynkowej.

Gdyby nawet siłę talentu p. Grabowskiego stanowił ów osławiony *rozmach*, to pomijając już bezsprzeczne istnienie czynników suggestyjnych (patrz list p. Rabskiego w „Kurjerze Warszawskim") należałoby zapytać przedewszystkiem, co to jest *rozmach* w sztuce i jaki *wyraz artystyczny* dał mu p. Grabowski?

Sądząc np. z „Pamiętników Rupiecia", które są prawie spowiedzią autora, cechą podstawową natury p. Grabowskiego jest refleksyjność. Na tej glebie, użyźnionej według wskazań kultury współczesnej, które autor studjował sumiennie u źródła, pomiędzy kunsztownie i z miłością hodowanymi szpalerami myśli własnych i cudzych, wybujały gdzieniegdzie dzikie, pierwotne rośliny temperamentu rasy, z nasion, zaniesionych tutaj przez wichry przeszłości. Idąc przez ogród swojej duszy drogą poznania samego siebie (pierwiastek intellektualny), natrafił poeta na owe dziko rosnące krzewiny i rozmiłował się w nich. Postanowił doprowadzić je do rozkwitu, chociażby miały ucierpieć na tem strzyżone aleje i misterne klomby kultury umysłowej i artystycznej.

Kwiatem, wyhodowanym świadomie na takim dziko rosnącym szczepie, jest „Sokół." Bolko-rycerz, Bolko-zdobywca wartości duchowych i materjalnych, nadczłowiek epoki odrodzenia, bojownik idei wolności ducha i ciała. I trzeba lubić tego dzielnego chłopca tak jak się lubi Bergerac'a Rostand'a... Obawiam się, że powiedziałem zbyt wiele. Z kim to walczy Bergerac?.. Z podłostkami otaczającego go świata, zapewne, ale nadewszystko—z sobą samym. Gdy Bolko pokonywa wsteczne mieszczaństwo włoskie, głupiego magnata-pyszałka, bezbronne zakonnice, opiłych quasi-rycerzy—Bergerac zwycięża samego siebie, poświęca jedyne szczęście swego życia pamięci zmarłego przyjaciela. Dziwna rzecz, przereklamowany, płytki Rostand rozumiał jednak, że istotą sztuki dramatycznej mogą być jedynie *konflikty wewnętrzne*. Nie idzie tu zgoła o ich wartość etyczną, ale wprost o ich istnienie. Bolko zwycięża zawsze i wszędzie, przychodzi mu to aż nazbyt łatwo, gdyż autor nie przeciwstawił mu nic godnego uwagi w otaczającem środowisku, ale nadewszystko nic — w nim samym. Takie momenty, jak powrót po uwięzionego sługę-przyjaciela nie ratują sytuacji: jeszcze jeden giest, nic więcej.

Lubię więc tego Bolka, ale muszą uczynić mu poważny zarzut; jego życie wewnętrzne nie zostało opracowane artystycznie przez autora. I oto z zamierzonej komedji stał się szereg barwnych ale płytkich obrazów. Bolko to ma być żywioł, ale takie ujęcie tej postaci nie upoważniało autora do odarcia jej z walorów prawdziwie artystycznych.

Przypomnijmy sobie typy Szekspirowskie, albo Falka z „Komedji miłości" Ibsena, albo Hauptmanowskiego Cramptona (pogrzebanego zresztą przez naszą przemądrzałą krytykę), albo kapitana Brassbound Bernarda Shaw. To wszystko są przykłady komedjowego opracowania postaci z typu żywiołowców.

„Sokół" otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie imienia Słowackiego. Za co? Za *rozmach*, ujawniający się w formie nieudolnej z artystycznego punktu widzenia.

Sądziłem zawsze, że konkursy ogłasza się po to, aby podnieść kulturę artystyczną; aby wyróżnić dzieła, które posuwają nas naprzód w pojmowaniu zadań sztuki. Prześwietni sędziowie byli innego zdania. Nagradzając sztukę p. Grabowskiego za bujność indywidualności twórczej autora popełnili błąd podwójny: analityczny, polegający na niezrozumieniu istoty jego natury artystycznej, i syntetyczny, oparty na fałszywem pojmowaniu zadania sędziów konkursowych, tych powołanych krzewicieli *kultury artystycznej*.

Ale podobno błędy prowadzą do poznania prawdy, a zatem: jaknajwięcej konkursów!

Już po oddaniu do druku powyższego artykułu przeczytałem artykuł p. Micińskiego i odpowiedź p. Grabowskiego w „Gońcu." Autor nagrodzonej sztuki zarzuca autorowi sztuki nienagrodzonej, że ostre zarzuty przeciwko wyrokowi sądu konkursowego podyktowała mu—zazdrość. Jest to dalszy ciąg insynuacji, podjętych przez przyjaciela z „Kurjera Warszawskiego" p. Rabskiego.

Wobec tego zmuszony jestem zaznaczyć przedewszystkiem, że system wojowania takimi argumentami przystoi niesfornym pensjonarkom lub nieuleczalnie chorym na manję wielkości grafomanom a już stanowczo nie jest godny poety — laureata.

Następnie, chcąc uniknąć podobnego zarzutu, stwierdzam co następuje:

1) nigdy nie napisałem dramatu wierszem;

2) żadnej sztuki na konkurs im. Słowackiego nie posłałem;

3) nie jestem zainteresowany w wyniku konkursu ani osobiście, ani pośrednio przez krewnych czy przyjaciół.

J. M. Muszkowski.

HUGO HOFMANSTHAL.

LĘK.

Djalog.

(Dokończenie).

Laidion. Ja myślę, że można być bitą, a znajdować się w stanie doskonałej szczęśliwości. Można leżeć w cieniu i cierpieć głód, a być szczęśliwszą od króla Indji. Ale najstraszniejsza jest dola Argusa: być pokrytą oczami, zawsze mieć któreś oko otwarte... Leżeć w ramionach mężczyzny, który cię kocha, którego ty zdajesz się kochać, a przytem wsłuchiwać się chciwie, z całej duszy w nieczuły plusk jakiejś wody, płynącej opodal, wsłuchiwać się z musu, bo coś cię do tego zniewala, coś cię trzyma jak w śrubach—tęsknota czy trwoga... Albo jesteś zaproszona na wieś, jedziesz na mule, i powinnaś być wesoła i nie myśleć o niczem, jak tylko o tem, że jesteś młoda i że niejeden przestałby chętnie długą noc pod twemi dzwiąmi... — aż tu nagle drzewa przydrożne stają ci przed oczyma jak groźni wysłańcy, wzgórze w oddali powstaje jak sędzia, jakgdyby szła sprawa o twe stracone życie... siedzisz oto w męce, w poczuciu winy, przywiązana do wierzchowca jak ten, kogo wiozą na stracenie, a przed setką twych oczu nic się nie kryje, ani żuk, co przesuwa się w pyle, pozostawiając cię swemu losowi, ani ptak w powietrzu, co śpiewa sobie tam w górze, pozostawiając cię swemu losowi...

Hymnis. O czem ty mówisz, Laidion? przecież ciebie nie wleczono nigdy na stracenie, przywiązaną do muła.

Laidion. Tu nie potrzeba muła ani sądu. Potrącam oto nogą suchą gałązkę, Hymnis, a jej nędzne istnienie udziela mi się, — podobnie jak piękno róż i fijołków przedostaje się do mej istoty przez oczy

i czyni ze mnie niewolnicę — a potem w nocy muszę leżeć z otwartemi oczyma i myśleć o tym przeklętym kawałku drzewa i być mu powolną: muszę naśladować ten jego krzywy kształt pokurczonemi, zdrętwiałemi członkami, tak że ptak nocny, widząc mnie w tym stanie, bierze mnie chyba za czarownicę z Tessalji lub za obłąkaną... — czy można wtedy nie czuć trwogi?.. Czy można nie czuć trwogi, kiedy słońce o poranku jest takie małe, kiedy zdaje się zwisać w gałęziach drzewa figowego, jak zabawka, zawieszona tam przez swawolne dzieci, a potem wzbija się w górę i staje się olbrzymem, dającym życie wszelakiemu istnieniu, olbrzymem, wypełniającym otchłań bytu?.. A pomyśleć tylko, czem jest okrutne opływanie czasu... czy nie jest to takie uczucie, jakgdyby człowiek wisiał w ujęciu azjatyckich niewolników głową na dół, pod wysokim mostem, a w dole płynęło coś bez dźwięku i barwy, ciszej i szybciej niż woda?.. Albo gdy pijąc wodę ujrzę w odbiciu twarz swoją — i nagle nie wiem już, która jest tą, co pije ten zwierciadlany żywioł, jestem jak bez duszy, nie mogę znaleźć drogi do siebie samej i chciałabym krzyczeć z przerażenia?.. Czy jest cokolwiek, coby nie wzbudzało przestrachu? Czem jest to, co nam każe tańczyć, jeżeli nie lękiem? On to trzyma koniec nici, umocowanych wewnątrz naszego ciała, szarpie nas to tu, to tam i każe podrygiwać naszym członkom. Kiedy jako Menada wyrzucam nogi, a moje ramiona i włosy lecą ku gwiazdom, myślisz, że jest to radość?.. Czyż nie spostrzegasz, że to lęk każe mi się miotać?..

Hymnis. To strach tak tobą rzuca?..

Ladion. Ale on jest podstępny. Nie zawsze pokazuje swe chude ramiona pantery. Bierze maskę na twarz i zmienia głos: wówczas nazywa się nadzieją. Myślę czasami, że jeszcze okropniej jest mieć nadzieję, niż czuć trwogę. Jedna noc nadziei wydrąża człowieka do cna. Nic nie wysysa tak zupełnie duszy z ciała. Istnieje takie narzędzie męki: podciągają więźniów na sznurach w górę, a potem pozwalają im gwałtownie spadać — to jest nadzieja. Szczęśliwy nie zna nadziei- — One muszą być niewypowiedzianie szczęśliwe, gdy tańczą przed swymi mężczyznami wobec swych bogów i nie wiedzą nic więcej o sobie — są wszystkie razem a jednak każda jest sama jedna.

Hymnis. Czy mówisz znowu o kobietach tych barbarzyńców z wyspy?

Laidion. Tak, mówię o ludziach z wyspy. Niewypowiedzianie szczęśliwe są one w owej godzinie. Całe ich życie spływa w tę jedną godzinę i więcej, niż ich życie. Przedtem były jak cienie, jak suche liście, szarpane przez bojaźń i lęk, przez niepokój i nadzieję. Pełne lęku i niepewności siedziały przedtem przez siedem dni i siedem nocy na czystych kobiercach. Czy możesz sobie wyobrazić, jakie to jest uczucie siedzieć na *czystym* kobiercu?

Hymnis. Czy to potrzeba tak wiele, aby módz sobie to wyobrazić? Czy może nie umiem utrzymywać czystości koło siebie?

Laidion. Powiadam ci, gdybym wylała na ten oto kobierzec wszystką wodę mojej studni, wszystką wodę świata i gdybym myła podłogę dokoła bez końca, jeszcze nie byłoby tutaj czystości. Czy powietrze jest czyste? Czy gdziekolwiek na świecie wieje czyste powietrze? Czyż nie wszędzie panuje tęsknota i lęk i pożądanie i zamęt? Czy wszystko, co istnieje, nie waha się między śmiercią i rozkoszą, nie jest splamione przez niepokój? Powiadam ci, gdyby na świecie pojawiło się coś prawdziwie czystego, morze musiałoby się wzbałwanić i utworzyć ulice, a serca nasze wyskoczyłyby nam z piersi i potoczyłyby się tam, aby odpocząć na wieki w tej czystości. Sama myśl o czystym kobiercu przyprawia mnie o drżenie, a jednak myśl ta spada na mnie niewiadomo skąd, jak światło gwiazdy. Może tamci ludzie spoczywają naprawdę na czystych kobiercach. Są w takim razie zwierzęta czy bogi lub jedno i drugie zarazem, i należałoby ich uwielbiać. Wydaje mi się, że nigdy nie widziałam nic czystego. Nigdy nie widziałam nic, na czem mogłabym położyć moje serce.

Hymnis. Nigdy więc nie byłaś zakochana, Lo-idion?

Laidion. Jeżeli byłam pijana i spałam w rynsztoku, nie chcę, aby później, gdy wytrzeźwieję, mówiono o tem ze mną.

(Milczenie).

Laidion. Ja odczuwam i widzę to wszystko, gdy zamknę oczy, ale niezupełnie, tylko tak, żeby górna powieka drżąc stykała się z dolną. Tak jak ty tutaj, siedzą mężczyzni tacy mali, ogromnie daleko. A pomiędzy drzewami widzę bogów — strasznych, z rozwartemi szeroko oczami — ale ich nic zatrwożyć nie może, bo powstali z czystych kobierców. To ich zabezpiecza. Lęk, pożądanie, męka wyboru, wszystek niecichnący niepokój — wszystko to zostało przetworzone na granicy ich ciała. Zapomniały, że są dziewice, zapomniały, ze mają stać się kobietami i matkami, wszystko w nich jest niewysłowione. I oto tańczą.

Laidion poczyna kołysać się w biodrach. Wyczuwa się jakoś, że nie jest sama, że wiele kobiet jest koło niej i że wszystkie naraz tańczą w obliczu swych bogów. Tańczą i krążą, a zmierzch już zapada: z gałęzi drzew odczepiają się cienie i opadają na ciżbę tańczących, a z ich wierzchołków podnoszą się wielkie ptaki, w których mieszkają umarli i demony, i krążą wraz z nimi, a brzegi wyspy zanurzają się w fale morza. Tańczą, a na ich twarzach połyskuje białko oczu, a w rozwieranych gwałtownym oddechem ustach lśni biel odsłoniętych zębów. A młodzieńcy, wszyscy młodzieńcy wyspy, siedzą w milczeniu na ziemi, trzymając się za kępki trawy; ręce ich wpijają się w grunt, i ziemia drga i ustępuje pod ich rękami jak żywa istota, i wyspa cała kołysze się pod nimi, jak łódź pełna pijanych. Nic na wyspie nie może ujść władzy tańczących i są one w tej chwili równie silne jak bogowie; ręce, biodra i ramiona bogów biorą udział w ich tańcu; w tej chwili nie może omotać ich błękitna sieć śmierci, nie może opaść na nie koralowy miecz bogów. One są te, które rodzą, same zrodzone na wyspie, są te, które niosą życie i śmierć.

Laidion jest w tej chwili zmieniona do niepoznania. W naprężonych jej rysach jest coś przerażającego, jakby groźba czy błysk wieczności: oblicze barbarzyńskiego bóstwa. Ramiona jej wydają się tęższe niż są w istocie. Ręce jej biegają w straszliwym rytmie w górę i na dół, grożąc śmiercią jak maczugi. A oczy jej zdają się wyrażać stopień uszczęśliwienia, przenoszący jej siły. Oto spoczywa już na łożu, oddychając suchym i krótkim oddechem, a otacza ją mały samotny pokoik i rzeczywistość; Hymnis przykrywa ją małą czerwoną kołdrą).

Laidion (otwiera po chwili oczy i podnosi się. Jest bardzo blada). Hymnis, Hymnis! Leżę oto tutaj i wiem— a nie posiadam! Chciałabym krzyczeć i gryźć poduszki, kąsać własne ręce i widzieć, jak krew moja upływa:— jest coś takiego na świecie, a ja tego posiąść nie mogę! Jak gorejący węgiel będzie to płonąć we mnie; musiał oto przyjść tamten człowiek i powiedzieć mi, że istnieje kędyś taka wyspa, gdzie tańczą i są szczęśliwi, wolni od żądła nadziei. Gdyż to właśnie jest wszystkiem, Hymnis: być szczęśliwym, wyzbywszy się nadziei.

Wyjątkowo zniżona cena następujących wydawnictw naukowych

„SPOŁECZEŃSTWA"

U. Sinclair. „Trzęsawisko". Wydanie kompletne w dwóch tomach, z portretem autora. Rb. 1.
Ludwik Kulczycki. Narodowa Demokracja kop. 10.
L. Kulczycki. Anarchizm w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosji Kop. 25.
K. Zalewski. Kwestja rolna w programach partji rosyjskich a ruch wolnościowy w Rosji Kop. 10.
Dr. A. Paneckock. W państwie przeszłości. Kop. 5.
F. Lassale. Program robotniczy. Kop. 5.
St. Brzozowski. Ich rewizjonizm. Kop. 5.
Paulsen. Kant i jego nauka. Z 3-go wydania niemieckiego przełożył i wyjątkami z „Krytyki Czystego Rozumu" i „Krytyki Praktycznego Rozumu" uzupełnił J. Wł. Dawid. Rb. 1,20.
J. Wł. Dawid. Zasób umysłowy dziecka. Przyczynek do psychologji doświadczalnej. Kop. 50.
J. Wł. Dawid. O wykładzie psychologji jako nauki doświadczalnej. Kop. 30.
Ribot. O wyobraźni twórczej. Kop. 20.
H. Höffding. Zasady etyki, Kop. 10.
J. Szczawińska. Pensje żeńskie. Kop. 10.
O. Bauer. Zagadnienie narodowości. Opracował M. Aleksandrowicz. Kop. 25.
J. Wł. Dawid. Mózg i dusza. Kop. 25.
W. Lexis. Podstawy Kultury Współczesnej. Kop. 25.
C. Snyder. Obraz świata podług najnowszych badań przyrodniczych. Rb. 1.

Wysyłać zamówienia do administracji „SPOŁECZEŃSTWA". Warszawa, ulica Wielka 1-a.

„KURJER"

Pismo Codzienne

Polityczno-Społeczno-literackie w Lublinie.

KURJER jest prowadzony od 3-ch lat przez grono inteligencji w duchu postępowym. Jako organ wolny i niezależny podjął przedewszystkiem zadanie służenia demokratyzacji społeczeństwa polskiego ze szczególniejszym uwzględnieniem warstw pracujących.

KURJER wskutek swojego programu narażony jest na ciągłe i nieustanne walki z obskurantyzmem i wstecznictwem — zakorzenionym na nieszczęście jeszcze tak głęboko w naszym narodzie.

Mimo to, dzięki bogatemu materjałowi literackiemu—dzięki śmiałemu i szczeremu podejmowaniu wszelkich kwestji społecznych—Kurjer zajął wyjątkowe stanowisko w naszej prasie prowincjonalnej,

Dążeniem Kurjera jest przez ciągłą i wytrwałą pracę stworzyć wielką kulturalną placówkę, jednoczącą wszystkie wysiłki ludzi, którym istotnie dobro kraju leży na sercu.

Prenumerata „Kurjera" wynosi:

w LUBLINIE

Rocznie rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 60, kwart. rb. 1 k. 30, mies. kop. 45.

Z przesyłką pocztową

Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwart. rb. 1 k. 50, miesięcz. 50 kop.

Zagranicą: wysyłamy codziennie — kwartalnie rb. 3, wysyłamy półtygodniowo — kwartalnie 2 rb.

Adres Redakcji i Administracji: **Lublin, Krak.-Przedm. 60.**

Skrzynka pocztowa № 62,

Cena ogłoszeń: Na 1 stronie wiersz jednoszpaltowy petitem lub jego miejsce 25 kop., na 3-ej stronie 15 kop., na 4-ej stronie 10 kop. Margines środkowy jednorazowo 4 rb., następne razy 3 rb. Nekrologi za wersz 25 kop.

Słownik Języka Polskiego

pod redakcją Wł. Niedźwiedzkiego

Przywraca się sprzedaż Słownika pojedyńczemi zeszytami (zeszyty od 1-go do 24-go włącznie kosztują po kop. 50).

Za każde 6 zeszytów następnych, począwszy od 25-go, wnosić należy z góry po rb. 4 kop. 50. Cena pojedyńczego zeszytu wynosić będzie kop. 85.

Na koszta przesyłki dopłacać należy do każdego zeszytu po **25** kop. w kraju, a po **30** kop. za granicą.

Administracja, ekspedycja i skład główny Słownika w Administracji „Gazety Handlowej", w Warszawie, Szpitalna № 10, gdzie też Słownik nabywać można.

Ozdobne okładki do „Słownika Języka Polskiego" są do nabycia w Administracji „Gazety Handlewej".

Redaktor i wydawca **Czesław Kryński**. Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki Nowy-Świat 47.